

Krzysztof PENDERECKI

TWÓRCZA DROGA KULTURY CHRZEŚCIJAŃSKIEJ*

Magnificencjo! Dostojny Senacie! Szanowni uczestnicy tej uroczystości!

Promocja doktorska, niezależnie od tego, czy odbywa się w trybie zwykłym, czy też ma charakter honorowy, i bez względu na to, czy biorę w niej udział jako promujący, recenzent, czy wreszcie promowany, zawsze przypomina mi o pierwotnym, łacińskim znaczeniu wyrazu „doktor”. Pochodzi on, jak wiadomo, od czasownika *docere* (uczyć) i oznacza „tego, który uczy” – nauczyciela. A zatem promocja doktorska to nic innego jak pasowanie na nauczyciela, to uroczyste przyznanie – biegłemu w jakiejś dziedzinie – prawa do dzielenia się swą wiedzą i umiejętnością, do *n a u c z a n i a* czegoś. Przyznanie takiego prawa przynosi zaszczyt, stanowi bowiem potwierdzenie przez innych osiągnięcia jakiegoś kunsztu, jest dowodem uznania przez nich, że o danym przedmiocie posiada się dostateczną wiedzę i osiągnęło się w nim wystarczającą sprawność, by móc godnie go reprezentować i stać na straży jego praw. Jednocześnie przyznanie takiego prawa czyni odpowiedzialnym i zobowiązuje; jest aktem przeobrażenia się juniora w seniora; senior zaś to ten, który zasadniczo nie zdobywa już wiedzy, lecz wie.

Tak pojęta odpowiedzialność i obowiązki wynikające z nadania tytułu doktora są pewnym brzemieniem, szczególnie zaś ciężkim dla artysty, którego powołaniem jest raczej stale poszukiwać niż znajdować, i raczej wątpić niż być pewnym. Brzemieniu temu wypada jednak poddać, a pierwszym krokiem w tym kierunku jest próba zrozumienia czasu, w jakim się żyje, własnej drogi na tym tle, i wreszcie roli, jaką można w danej sytuacji odegrać.

Cóż więc mogę powiedzieć o epoce, w jakiej wypadło mi żyć? Jak widzę procesy zachodzące w sztuce w ciągu ostatniego stulecia? Jak wreszcie rozpoznaję własne miejsce i rolę w tym kontekście: jakich wartości chciałbym strzec? co pragnę proponować? czemu – jako doktor sztuk – mogę służyć?

* Przemówienie wygłoszone 26 X 1987 r. w auli Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu z okazji nadania Krzysztofowi Pendereckiemu tytułu doktora honoris causa. Przedruku tekstu dokonujemy za londyńskim kwartalnikiem „Puls” 1987 nr 35, s. 73-77.

Przygoda duchowa, jaka przydarzyła się człowiekowi Europy w ciągu ostatnich stu lat, jaka więc i mnie – przynajmniej w pewnej mierze – spotkała i jaką przeżywam dalej, jawi mi się w następujący sposób:

Cywilizacja europejska wraz z jej kulturą i sztuką nierozzerwalnie związana jest z chrześcijaństwem. Ono to przez setki lat kształtowało jej oblicze i wszelkie jej osobliwości. Nie będzie przesadą, jeśli się powie, iż przez z górą tysiąclecie miało ono wprost monopol na dostarczanie form wszelkim dziedzinom życia ludzkiego. Nie tylko filozofia, sztuki piękne, budownictwo, rodzina były zorganizowane według chrześcijańskich norm; również wojny, sądy i sprawowanie władzy były „chrześcijańskie”, a wszelkie ludzkie tęsknoty, aspiracje i najsprzeczniesze interesy wyrażały się w chrześcijańskich symbolach.

Powstaje pytanie: w czym tkwi kulturotwórcza moc chrześcijaństwa? Jaką to jego cechą czy pierwiastek sprawia, że stanowi ono glebę tak płodną dla człowieka? W pierwszej chwili może się wydać dziwne, a nawet szokujące, co powiem, lecz upatrywałbym owej siły w takich mianowicie dwóch walorach tej religii, jak – z jednej strony – to, iż zdolna jest ona uśmierzać w człowieku nienawiść i powstrzymywać go od tego uczucia, a z drugiej to, iż w swej najgłębszej istocie stanowi ona świadomość ludzkiej słabości i nędzy, że jest wyrazem metafizycznej pokory człowieka. Zważmy, że o chrześcijaństwie nie sposób powiedzieć, iż jest ono religią „prometejską”, a więc taką, która przyznawałaby człowiekowi przynajmniej możliwość samozbawienia. Przeciwnie, chrześcijaństwo trzyma ludzkość w poczuciu grzechu i winy, i z całą mocą podkreśla, iż człowiek nie da sobie rady bez interwencji Boga. Stosując do tego zagadnienia kategorie tragedii greckiej, można by powiedzieć, iż chrześcijaństwo powstrzymuje człowieka przed najniebezpieczniejszym dla niego, a od niepamiętnych czasów najbardziej kuszącym go występkiem, jakim jest „hybris” – grzech pychy i samoubóstwienia. Chrześcijaństwo powściąga, hamuje ową tęsknotę za uzurpatorskim przyznawaniem sobie atrybutów boskich i w tym, jak sądzę, tkwi jego najgłębsza mądrość. Albowiem doświadczenie setek pokoleń i najprzeróżniejszych cywilizacji dowiodło niezbitnie, że z człowiekiem tak się rzeczy mają, iż rozwija się on wtedy, gdy zdobywa się na metafizyczną pokorę, a marnieje i ginie, gdy ulega pokusie metafizycznego wywyższenia. Rachunki człowieka są przeto zasadniczo proste: albo godzi się on na świadomość własnej słabości i nędzy i towarzyszącą jej pokorę, a wówczas wolno lecz sukcesywnie rozwija się, a ogród jego królestwa owocuje, albo odrzuca on brzemień upokarzającej niższości, sięga po insygnia władzy w kosmosie ogłaszając się panem i rządcą stworzenia, a wówczas po krótkim czasie zaślepienia własną złudną wielkością stacza się w przepaść szaleństwa, a żyzne dotąd pola jego królestwa przemieniają się w pustynie.

Przygoda duchowa człowieka, o której wspomniałem powyżej, rozpoczyna się dla mnie gdzieś w wieku XIX. Oto pod wpływem błyskotliwych odkryć

w naukach ścisłych i wynalazków technicznych, wskutek nagłego tempa rozwoju i wynikającej stąd świadomości zmienności i względności wszystkiego, człowiek – po raz któryś już w swej historii, lecz po długiej, przyznać trzeba, przerwie – znowu zamarzył o boskości, znów powziął myśl o wyzwoleniu się z kondycji poddanego, znów uległ pokusie skosztowania zakazanego owocu. Ów bunt przeciw krępującym zbawczo barierom chrześcijaństwa znalazł swój wyraz w dwóch wielkich ideach XIX stulecia, które – mimo wszelkich różnic między nimi – wcielały niewątpliwie te same prometejskie oczekiwania. Z jednej strony mam tu na myśli filozofię mocy i nadczłowieka Fryderyka Nietzschego, z drugiej filozofię wyzwolenia i samotworzenia ludzkości sformułowaną przez Karola Marksa. Te dwie idee – u korzeni swych antychrześcijańskie – w złożonym procesie historycznym wydały owoc w postaci dwóch najbardziej złowrogich tyranii, jakich od lat nie oglądał świat. Po raz któryś w dziejach człowieka potwierdziło się, iż próba odejścia od Boga, a zwłaszcza zuchwała wola dorównania Mu, kończy się straszliwym i żalosnym upadkiem.

Zjawiska, o których mówię, znalazły swój wyraz, a raczej równolegle przejawily się w dziedzinie sztuki. Z niezwykłą przenikliwością spostrzegł to i opisał jeden z największych pisarzy XX wieku – również i mnie szczególnie bliski – Tomasz Mann w swej znakomitej *Czarodziejskiej górze*, a zwłaszcza w *Doktorze Faustusie*. Postać genialnego kompozytora, Adriana Leverkühna, który uzmysłowiwszy sobie, iż muzyka, po latach rozwoju, znalazła się nagle w martwym punkcie stając w obliczu nieprzezwycięzalnych, wydawałoby się, trudności, sięgnął po diabelski eliksir dający złudnie nadprzyrodzoną moc, zdolną pchnąć inwencję ludzką na nowe tory i ku nowym światom, i który stworzył w rezultacie dzieło antyhumanistyczne, a sam popadł w szaleństwo, doskonale odzwierciedla ową ludzką tragedię pychy i poniżenia. Pamiętnym i wielce wyrazistym symbolem – zarówno samego zamysłu obrazoburcy, jak i efektu jego dzieła – jest idea odebrania ludzkości *IX Symfonii* Beethovena.

Moje początki twórcze przypadły na okres, gdy w kraju, w którym się urodziłem, wzrastałem i studiowałem, artysta stał wobec alternatywy: albo postulowana czy narzucana wręcz przez panującą ideologię estetyka socrealistyczna, albo zwalczana czy zakazana nawet estetyka nowatorska kojarzona z ideologią burżuazyjną. Dla twórcy uczciwie i poważnie podchodzącego do sztuki nie mogło być wątpliwości, za którą z dwóch przeciwstawionych sobie estetyk się opowiedzieć i jaki program artystyczny realizować. Wybór był przeto oczywisty. Nie zdawałem sobie wówczas sprawy, że alternatywa, o której mówię, jest w istocie alternatywą złudną, pozorną, że każe wybierać między fałszywymi wartościami, że przeciwstawia sobie drogi w gruncie rzeczy do siebie podobne, bo każda z nich wywodzi się z analogicznego źródła, jakim jest odrzucenie sacrum i postulat nieograniczonej, a przez to straceńczej wolności człowieka. Estetyka socrealistyczna była funkcją postulowanego przez marksizm konstruktywizmu; estetyka „nowatorska”, określana wów-

czas w Polsce mianem „burżuazyjnej”, stanowiła daleką pochodną „zmierzchu bogów” i wyrosłego na tym gruncie nihilizmu. W płaszczyźnie politycznej i historycznej dwie wielkie pseudoprometejskie idee XIX wieku przybrały postać najrozmaitszych kultów: kultu Historii, Wodza, Postępu i Siły; w dziedzinie sztuki przejawily się one w postaci najrozmaitszych fetyszy: z jednej strony Prostoty i Ludowości, z drugiej – nieokiełznanej Swobody i Eksperymentu. Wszedłszy na tę drogę, zorientowałem się po jakimś czasie, iż więcej się na niej burzy niż buduje, że przekraczanie i obalanie kolejnych barier prowadzi w końcu na pustkowie. I zrozumiałem wreszcie, że właściwa opozycja zachodzi gdzie indziej, nie pomiędzy konstruktywizmem a formalizmem, a między tymi oboma trendami a zagubioną czy zarzuconą w jakimś momencie tradycją ugruntowaną na sacrum. Można powiedzieć, iż uświadomienie sobie tej sprawy było w mojej biografii twórczej zasadniczym punktem zwrotnym. Od tej pory mój dorobek kompozytorski znaczony jest takimi między innymi utworami jak *Pasja według św. Łukasza*, *Jutrznia*, *Kosmogonia*, *Raj utracony*, *Te Deum*, których tytuły mówią same za siebie.

Tej drodze pragnę pozostać wierny, te wartości pragnę dalej rozwijać. Chciałbym przy tym zaznaczyć, że nawiązanie do tradycji chrześcijańskiej nie oznacza bynajmniej opcji na rzecz sztuki sakralnej. Nawiązywanie do tej tradycji jest dla mnie programem o wiele szerszym i głębszym niż doraźne służenie Kościołowi.

Żyje na świecie trzech Polaków, których osobowość, postawa, myśli i dzieła wywarły na mnie istotny wpływ i którym chciałbym w tym momencie wyrazić wdzięczność. W pierwszej kolejności pragnę wymienić kapłana: papieża Jana Pawła II, który z godną podziwu siłą i świeżością głosi ewangeliczne orędzie i dźwiga „wszystkich, którzy upadają”. Po drugie, pragnę wymienić poetę: Czesława Miłosza, którego książka *Zniewolony umysł* otworzyła mi niegdyś oczy na wiele spraw, a którego dokonane ostatnio przekłady słynnych ksiąg biblijnych stały się dla mnie źródłem natchnienia. Po trzecie wreszcie, pragnę wymienić filozofa: Leszka Kołakowskiego, którego takie prace jak *Świadomość religijna i więź kościelna*, a później *Obecność mitu* i niedawno wydana *Religia* podbudowywały teoretycznie wiele moich artystycznych intuicji. Ci trzej ludzie – przy wielkich różnicach, jakie ich dzielą – zdają się, w moim przekonaniu, być zgodni i bliscy w jednym: w tym mianowicie, iż pilną potrzebą współczesnego świata jest nawrót do chrześcijańskich wartości i jak najrychlejsze odbudowanie strzaskanej przez kataklizmy XX wieku metafizycznej przestrzeni człowieka. Temu celowi również i ja chciałbym służyć swoją sztuką.

Przyznany mi przez Uniwersytet im. Adama Mickiewicza doktorat honoris causa jest pierwszym tego rodzaju doktoratem, jaki otrzymuję w Ojczyźnie. Satysfakcja i zaszczyt, jakich zaznaję, są tym większe, że – jak się dowiaduję – tytuł ten nadano tutaj w przeszłości tak wybitnym osobistościom jak

Ignacy Paderewski i Józef Piłsudski – znowu Polakom, których postawa i geniusz są mi szczególnie bliskie.

Swoją wypowiedź pragnę zakończyć słowami przysięgi, jaką przy takiej okazji zwykło się składać. Otóż będę się dalej trudził nad mym dziełem „*non sordidi lucri causa nec ad vanam captandam gloriam, sed quo magis veritas propagetur et lux eius, qua salus humani generis contrinetur, clarius effulgeat*”.